

## Tajna policja i wolność słowa

Różne i nawet całkiem dziwne rzeczy jestem sobie w stanie wyobrazić w polskiej polityce. Jednak (przynajmniej do tej pory) moją wyobraźnię przerastałaby sytuacja, w której u nas w Polsce, pod jakąkolwiek władzą, szefowie tajnej policji publicznie domagaliby się ograniczenia wolności słowa i zaprowadzenia cenzury. Tymczasem okazuje się, że taka rzecz może się zdarzyć u naszych zachodnich sąsiadów.

Czytam z pewnym niedowierzaniem na łamach gazety „Frankfurter Allgemeine” wywód dyrektora generalnego niemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV) Thomasa Haldenwanga, wedle którego ochrona wolności słowa w niemieckiej konstytucji to rzecz jedna, a rzecz druga i całkiem inna – to sprawy prowadzone przez podległe mu służby przeciw ludziom, którzy z tej wolności korzystają. Jedno z drugim – zdaniem Haldenwanga – nie ma bowiem bezpośredniego związku. Szef BfV opowiada zresztą przy tej okazji więcej rzeczy zdumiewających – wyjaśnia na przykład, iż jedną z funkcji kierowanej przezeń tajnej policji jest... zmniejszanie wyników wyborczych partii niemieckiej prawicy. W każdym razie gdy idzie o wolność słowa Haldenwang uważa, iż problemem są ludzie, których opinie – bez wątplenia podlegające ochronie niemieckiej konstytucji – traktuje jako przejawy „delegitymizacji”, albo po prostu niedopuszczalnego kpienia sobie z niemieckiego państwa. Polakowi mojego pokolenia natychmiast

przypomina się, iż to właśnie za „kpienie z państwa” w sławnych „Cichych i gęgaczach” dawno temu Szpot został wysłany przez Gomułkę do kryminału na trzy lata.

Postulat szefa tajnej policji podchwyciła ostatnio senator ds. sprawiedliwości Berlina – Felor Badenberga, która jest naturalizowaną w Niemczech Persyjką, urodzoną w Teheranie. Aż do ubiegłego roku, kiedy objęła tekę ministerialną w rządzie Berlina, przez wiele lat była funkcjonariuszką BfV, gdzie udało się jej osiągnąć rangę członka ścisłego kierownictwa niemieckich tajnych służb. No i teraz właśnie, wyraźnie pod wpływem oczekiwań sformułowanych przez Haldenwanga, pani Badenberga występuje z projektem, wedle którego niemieckie prawo powinno stworzyć nową kategorię poglądów „sabotujących proces opiniotwórczy”, czego nie przewidywała niemiecka konstytucja, okrojona 75 lat temu Niemcom przez Amerykanów. Co prawda bowiem, w artykule piątym konstytucja wyłącza ze sfery wolności słowa „obelgi, groźby, gloryfikację przemocy i podżeganie do nienawiści”, ale najwyraźniej okazują się to wyłączenia na dzisiejsze czasy niewystarczające. Berlińska senator jest bowiem przekonana, że istotna część poglądów wyrażanych w debacie publicznej utrudnia, a nie ułatwia Niemcom wyrobienie sobie zdrowego „Weltanschauung”, a zatem nie przynależą one do „społecznego procesu opiniotwórczego”, właściwego demokratycznemu społeczeństwu, ale są „sabotażem tego procesu”. I powinny być prawnie wyeliminowane z debaty publicznej.

Jest jasne, że swoiste zuchwalstwo ludzi z niemieckich tajnych służb, nieomal wprost występujących z postulatem zaprowadzenia w Niemczech państwowej cenzury, jest częścią szerszej atmosfery politycznej, jaka ostatnio zapanowała u naszych sąsiadów. Inaczej niż we Francji, gdzie polityczny fanatyzm przeciw prawicy ostatnio trochę

osłabł, a to zapewne wobec spodziewanych zwycięstw wyborczych socjal-narodowego stronnictwa RN, to w Niemczech ów fanatyzm, skierowany głównie przeciw liberalno-narodowej partii AfD, teraz właśnie dopiero narasta. Przejawów tego jest bez liku, a najbardziej chyba przemawia do wyobraźni fakt, iż w takiej atmosferze nawet niemieccy biskupi katoliccy zabrali się za czystkę w radach parafialnych i grupach modlitewnych, z których mają zniknąć katolicy o prawicowych poglądach politycznych. Ale też gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, iż żądania sformułowane przez szefów służb specjalnych spotkały się z publicznym odporem. Np. niegdysiejszy minister obrony w rządzie Kohla – Rupert Scholz oskarżył Haldenwanga o publiczne przyznanie się do łamania konstytucji i przekraczania uprawnień, po czym wyraził przestrożę, iż: „jeśli rząd federalny nie wyciągnie wniosków z zachowania tego wysokiego urzędnika, sam wzbudzi wątpliwości co do swojego rozumienia demokracji”. Co ciekawe, to na łamach tabloidu „Bild” przeprowadzony został prosty, a druzgocący dla kierownictwa BfV dowód, iż sam myślowy koncept wydzielenia i eliminacji w wolnym społeczeństwie poglądów nie mieszczących się w kanale „społecznego procesu opiniotwórczego” jest niczym innym, jak pokrętnie i eufemistycznie opisanym konceptem zaprowadzenia przymusowej państwowej cenzury.

To oczywiście truizm powiedzieć, że epoka, w której przychodzi nam żyć w Europie, przestała sprzyjać staremu liberalnemu konceptowi wolności słowa. Wielki paradoks naszego czasu polega przecież na tym, że im mocniej współczesna kultura i polityka wielbią ideę różnorodności, tym wężiej zakreślają krąg przekonań i opinii społecznie dopuszczalnych, czyli „inkluzyjnych” (jak się zwykło teraz mówić), a więc włączających w społeczność, a nie wyłączających z niej. Na własny użytek nie tak dawno odkryłem (popadając z tego powodu w wisielcze rozbawienie), że całkiem liczni moi koledzy z lat młodości

wyznają rozmaite poglądy, do których publicznie by się dziś bali przyznać, podczas gdy w czasie rządów komunistycznych zrobiliby to bez obawy. Coraz ściślejsza cenzura mediów społecznościowych, które – niestety – stały się głównym forum publicznej debaty, oraz presja na rozszerzanie katalogu przejawów tzw. „mowy nienawiści” i zaostrzenie represji z tego tytułu – być może okażą się dla przyszłych pokoleń szczególnie znaczącym „signum temporis” naszej epoki. Ostatnio słyszałem w radiu mówione wspomnienia z lat 60. XX wieku zmarłej właśnie Jadwigi Staniszkis, która użyła barwnego określenia: „historyczna potrzeba analizowania i dochodzenia do prawdy”, dla nazwania duchowego nastroju panującego naówczas w kręgu warszawskiej inteligentkiej młodzieży. Dziś jesteśmy na antypodach tamtego nastroju.

Na tle takiego klimatu epoki ta niemiecka dyskusja o wolności słowa wydała mi się – mimo wszystko – wyjątkowo ciekawa, a to przez swój precedensowy charakter. Dotąd bowiem byłem przekonany, iż od końca II wojny światowej tajne policje i wszelkie służby specjalne państw demokratycznych ostatecznie przestały stanowić zagrożenie dla wolności słowa. Że przeciwnie, ukierunkowane na ochronę wolnego świata przed niemożliwą do usunięcia groźbą przemocy czy terroryzmu, stały się w gruncie rzeczy najwierniejszym sojusznikiem wolności, ba... nawet w jakimś sensie jej strażnikiem. Idealny model stosunku wolności słowa do tej nowej tajnej policji rysował mi się właśnie jako relacja pomiędzy czystą i bezinteresownie formułowaną publicznie myślą, bezsilną samą z siebie w sytuacji ataku przemocy, oraz postępującym za nią nieodłącznym, zawsze jej wiernym tajnym strażnikiem, zapewniającym wolnej myśli komfort bezpiecznej obecności na scenie publicznej. Obecne inicjatywy niemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji są oczywistą zdradą takiej roli wiernego strażnika wolnej myśli, a służby specjalne znów występują w trywialnej

historycznie roli narzędzia panującego regime'u i dominującej ideologii. Okazuje się jednak, że pewne rzeczy na tym świecie są niezmiennie. A do nich należy też natura tajnych policji, która gdzieś na poziomie wartości elementarnych nie zmieniła się znów w Europie aż tak nadto od czasu, gdy hrabia von Benckendorff, wraz z misją stworzenia III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, otrzymywał od imperatora chusteczkę, aby „otarł nią łzy jego ludu”.

*Jan Rokita*